

Cykliści i Stańczycy – o galicyjskim micie

Wydarzyło się to, kiedy miałam dziesięć lat i jechałam do Lublina. Ot tak, zwyczajnie z mamą, żeby odwiedzić siostrę. Czym jechałam? – *Galicja Expressem*. Niby takie nic, ale jednak coś, bo kiedy tak jechałam, zaczęłam się zastanawiać, czym tak właściwie ta Galicja była i czemu dziś nazywają tak autobusy (widocznie chwytna nazwa – pomyślałam). Później pojawiła się jeszcze *Piekarnia Galicyjska* i restauracja „w stylu dawnej Galicji”, a nawet galicyjskie masło.

Galicja na trwałe weszła do sfery kultury i stworzyła w niej swoje własne miejsce, swój własny mit – „zmienny i wieloznaczny, nadal jednak żywotny”. Mit ten nie powstał bynajmniej przy dymie fabryk (których tu nigdy za wiele nie było), ale za to wokół małych obłoczków, wzbogaconych aromatem gorącej (wiedeńskiej) kawy, wypijanej z wolna przy kawiarnianych stolikach, podczas przyjacielskich pogawędek i rodzinnych spotkań. Galicyjską legendę wciąż na nowo wskrzeszają malarze, rzeźbiarze, pisarze polscy, a w mniejszym stopniu także austriacy i ukraińscy. Wskrzesza ją Festiwal Schulza, festiwale kultury żydowskiej czy nawet filmy braci Quay.

Jak to możliwe, że sztuczny twór, który zniknął z mapy Europy sto lat temu wciąż w nas trwa, wciąż stanowi o naszej tożsamości? Czy jest w ogóle za czym tęsknić?

Cofnijmy się do roku 1772, zamknijmy oczy... co widzimy – upadek, katastrofę? Dla większości z nas to te pierwsze, oczywiste skojarzenia, przecież ot tak sobie, nagle likwidują nam Państwo. Pójdźmy jednak

o krok dalej i przyjmijmy optykę Ukraińców, albo używając określeń historycznych – Rusinów. Dla nich to dopiero początek drogi do niepodległości, do wyzwolenia. Odkrywczym więc okazuje się moment, kiedy zauważamy, że Galicja miała różne perspektywy, że to nie tylko jeden mit, ale cała rzesza mitów: „matki Izraela”, „młodszej siostry Austrii”, „nadobnej niewiasty”, „Nędzy Galicyjskiej”, Halicza i Włodzimierza. Wszystkie te narracje funkcjonowały osobno, ale też często wchodziły między sobą w konflikt, bo jak tu pogodzić tak sprzeczne punkty widzenia. Powraca jednak uparcie pytanie: dlaczego właściwie Galicja jest tak legendotwórcza, dlaczego podobne mity nie powstawały gdzie indziej, bo nie ma przecież mitu „Poznańskiego” czy mitu „Kongresówki”?

Od wielu lat Poznań nie miał i nie ma tego, co Kraków ma w nadmiarze. Kraków jest legendotwórczy. Zawsze był. Można powiedzieć, że to po prostu nasza specjalność, już od czasów smoka wawelskiego czy „Wandy, co nie chciała Niemca”. Wielkopole nie tworzyli legend, gdyż byli zajęci zupełnie czym

innym. W Poznańskim mieszkali organiczniacy, czyli ludzie, którzy zbudowali Bazar, spółkę akcyjną. Przy takiej działalności nie ma czasu na fantazjowanie. Zaś Kongresówka to... insurgencki. Do dziś słyszy się ich kroki opodal Podchorążówki.

A w Galicji? W Galicji o wiele ważniejsze było wyobrażenie dobrze wychowanego i wyedukowanego, racjonalnego, konserwatywnego, zwolennika „Stączyków”, najlepiej z egzemplarzem „Czasu” pod pachą (*nomen omen* gazety niezwykle cenionej i poczytnej przez międzynarodową opinię publiczną; znaleźć się w „Czasie” oznaczało tyle, co współcześnie robić karierę na Zachodzie). „Stączycy” byli indywidualistami, którzy tworzyli własną historię, ale i kalkulowali. Nauczyli się sztuki politykowania. Wiadomo, sztuki trudnej, bo w tamtych czasach wymagającej kompromisu, ale także założeń logicznych. Oni nie byli fantastami, uwierzyli zaś w *realpolitik*, która stworzyła takie mocarstwa jak Wielka Brytania i Francja.